

Nr. 15. Częstochowa, dn. 23 lipca 1933 roku. Rok III.



Krucjata Eucharystyczna szkoły Powszechnej nr. 1 w Częstochowie w parafji św. Rocha (w środku dyr. ks. Władysław Gawron).

Z ŻYCIA KRUCJATY EUCHARYSTYCZNEJ w parafji św. Rocha w Częstochowie.

Dnia 4 czerwca b. r. odbyło się przyjęcie dzieci ze szkoły powsz. nr. 1 do Rycerstwa Jezusowego. W uroczystości tej wzięły udział nietylko dzieci, ale i ich rodzice. O godz. 7 i pół rano przyszła do szkoły delegacja Stow. Niewiast i Mężczyzn Katolickich, wraz z orkiestrą. Wyruszono do kościoła św. Rocha. Tu ks. prefekt Wł. Gawron wypowiedział, w krótkich, lecz pięknych słowach, jak wielkie znaczenie dla dzieci ma ten dzień przyjęcia ich w grono Rycerstwa Jezusowego. Po ceremonjach przyjęcia, dzieci wysłuchały Mszy św., w czasie której przystąpiły do Komunji św. Po Mszy św. dzieci

wraz z gronem nauczycielskiem zostały zaproszone na śniadanie. Śniadanie to urządzone zostało przez Stow. Akcji Kat. przy par. św. Rocha.

P. kierownik Patorski wyraził swoją wdzięczność Ks. Prefektowi, oraz rodzicom, którzy dzielnie dopomagali Ks. Prefektowi w urządzeniu tej miłej niespodzianki dla dzieci.

Zakończeniem tej uroczystości była akademja, urządzona przez dziatwę szkolną. Na pogram akademji złożyły się następujące punkty: 1) Zagajenie przez ks. Gawrona; 2) Po przemówieniu Ks. Prefekta, dzieci wypowiedziały kilka deklamacyj, poczem odegrały dwa obrazki sceniczne. Akademję zaszczycił swą obecnością w zastępstwie J. E. Ks. Biskupa Ks. Prał. A. Zimniak, Wikarjusz Generalny diecezji Częstochowskiej, grono nauczycielskie na czele z p. kierownikiem Patorskim, oraz rodzice.

Na zakończenie akademji Ks. Prał. Zimniak wyraził swą radość, jaką odczuwa, gdy widzi tę pracę Ks. Prefekta w szkole w Krucjacie Eucharystycznej i na terenie parafji, oraz czynną gotowość parafjan do pracy. Bardzo pięknie porównał ze swej wycieczki do Ziemi św. tamtejszą Krucjatę, składającą się z różnych narodowości, a naszą polską, podkreślając, że Krucjata staje się międzynarodową. Mówił dalej o znaczeniu dziecka w rodzinie. Krucjata przychodzi rodzicom z pomocą w wychowaniu dzieci.

PRAWDZIWY PRZYJACIEL.

(Ciąg dalszy).

Gdy oczy otworzył, ujrzał się na leżance w poczekalni klasztornej. Zasłony spuszczono i przyjemny chłód panował w obszernym pokoju. Na głowie Janek poczuł zimną czapkę, z której węże gumowe wychodziły, a końce ich po prawej i lewej stronie łóżka tkwiły w wiadrze z wodą. Nad Jankiem schylał się kapłan z miłym uśmiechem na twarzy:

„Czy to ojciec Moryson?" — szepnął Janek.

„Tak, jestem ojcem Morysonem, synku".

„Proszę mnie ochrzcić, aby Ksawerek nie umarł!"

„Ksawerek Stenthorp?" — pytał kapłan.

„Tak, ojcze duchowny".

„A ty jesteś Jankiem Smith?"

Janek kiwnął głową. — Szczęśliwym sposobem zakonnik znał sprawę Ksawerka z młodym „poganinem". Wiedział, że Janek należycie był przygotowany, a wiedział też, że lekarz przywołany u małego handlarza gazet, stwierdził porażenie słoneczne i śmierć możliwą, zatem nie należało zwlekać ani chwili. Kapłan więc wziął ze ściany, wiszący tam kociołek z wodą święconą i skropił nią odkrytą głowę chłopca, wymawiając przytem słowa:

„Franciszek Ksawery, chrzcę ciebie w Imię Ojca, i Syna i Ducha św."

Uśmiech szczęścia przemknął po twarzy chłopca.

„Prawda, ojcze", szepnął, „teraz znikły wszystkie grzechy moje i dostanę się do nieba?"

„Tak, dziecko, mocą nieskończonych zasług Chrystusa Pana!"

„Niechby się Ksawerek tylko o tem dowiedział!" — szepnął Janek ciszej, niż poprzednio.

„Bądź o to spokojny, mój mały przyjacielu! Rodzice Ksawerka mają telefon; tu z naszej stacji doniosę im o tem, i tak w kilku już chwilach wiadomość dojdzie do nasze-

go małego misjonarza".

„O, ojcze, gdyby to ojciec zechciał zrobić!"

Ojciec Moryson poszedł do bocznego pokoju, schwycił za słuchawkę telefonu i głosem powolnym a wyraźnym rzekł:

„Ksawery Stenthrop na ulicy Lincoln 14. — Moryson przed chwilą ochrzcił Janka Smitha".

„Dziękuję, ojczu... dzięki... stokrotnie"... głosem ledwo dosłyszalnym szepnął Janek, chwytając kapłana rękę, który znów stanął przy posłaniu.

„Gdybyż jeszcze teraz ojciec mój..." Przymknął oczy wyczerpany i zasnął na wieki. Kapłan pochylił się nad dzieckiem zmarłem, położył prawą rękę na sercu jego i pomodlił się słowami: „Niech odpoczywa w pokoju!"

W dwa dni potem w kościele św. Antoniego stała trumienka cała zasłana kwiatami. Ksiądz Moryson z ambony opowiedział w pięknych, wzruszających słowach historję bogatego chłopca, który doprowadził do Pana Boga ubogiego chłopca z ulicy, za co tenże z wdzięczności oddał za niego życie. Oczy wszystkich obecnych zaszły łzami.

Po pogrzebie zjawił się w klasztorze robotnik, który chciał się rozmówić z ojcem Morysonem. Czuć go było wódką, choć na razie był trzeźwym.

„Jestem ojcem Janka", wybełkotał, „dopiero dziś od księdza dowiedziałem się o wszystkiem. Chłopcu pozwoliłem chodzić, gdzie mu się podobało, byleby tylko przynosił dużo centów do domu. Ale ja dziś już nie chcę żyć nadal jak poganin. Matka moja była dobrą katoliczką, Irlandką, a ja, dodał, przecierając sobie ręką łzy z ócz — chcę kiedyś dojść tam, gdzie mój syn jest obecnie".

„Tak się też stanie, mój przyjacielu", rzekł kapłan, kładąc rękę na ramieniu Smitha". Ostatnie słowo Janka było życzeniem dla swego ojca". — Schwycił płaczącego człowieka za rękę i zaprowadził go do zakrystji do spowiednicy.

— — — — — — —

Piętnaście lat później młody ksiądz Ksawery Stenthrop wyjeżdżał statkiem do Chin, jako misjonarz. Szedł on tam z myślą, by życie swe oddał w zdobywaniu dusz pogan tamtejszych. Z nim jechał Smith, który matce księdza przyobiecał, że go nigdy nie opuści.

W WAKACYJ CZAS......

Wśród swoich żyć, gdzie rozkosz,
rozkosz wielka!
Hej na wsi być, to radość, radość wielka,
Do śpiewu czas, wakacyj chwila błoga;
Cieszmy się wraz, dziś tyle pora droga.
Zapachu róż i woni kwiecia tyle —
Biegajmy już, swobodni jak motyle!
Hej! wszyscy wraz śpiewajmy piosnkę
miłą —
Aż echo w las poleci z dziwną siłą!
Hej, lato nam uroków swych udziela,
Na łąkę, tam użyjmy dziś wesela!
Hej, bawmy się w wakacyj lubej porze—
Za radość tę, dzięki Ci dobry Boże!

OŚMIOLETNI MĘCZENNIK.

Już spadło z tułowi ściętych 5 głów... Skąpane w męczeńskiej krwi ciała pomordowanych chrześcijan legły pokotem u stóp triumfujących katów, co hardo wodzili dzikim wzrokiem po wylękłym, milczącym tłumie, jakgdyby szukali w nim nowych ofiar. A lud stał zwarty, dziwną cześć i szacunek czując dla tej wiary, co z uśmiechem na twarzy, ze śpiewem na ustach ginąć pozwala.

Jeszcze jedna pozostała ofiara, chłopczyk maleńki, ośmiolatek zaledwie. Żal się tłumowi zrobiło tej drobnej dzieciny! Toż to maleństwo słabe, niewinne, nikomu jesz

cze chyba krzywdy nie wyrządziło na świecie. Gdzieś pod włochatą, kamienną piersią kata zakołatało wreszcie litością serce. Lecz nieludzkiemu rozkazowi cesarzowej stać się musi zadość. Spojrzał po towarzyszach - oprawcach. W ich oczach tak zwykle surowych, chciwych krwi, przejawiały się lekkie błyski ciepła, litości. Więc wydał rozkaz: Zaprowadzić go do pagody. Niech bóstwu złoży laseczkę kadzidła a pójdzie wolny. Porwał motłoch biednego chłopczynę. Dziecko dziwnie było spokojne... W oczach jego stracono całą rodzinę ,ojca, matkę, braci. Ból straszny i żal nieutulony targnął wiośnianem serduszkiem dziecięcia, ból przedtem nigdy nie odczuty, ból, który wysuszył mu łzy w oczach, stłumił wszelki jęk w krtani. Ostatni raz rzucił pożegnalne spojrzenie na walające się w kurzu i krwi ciała swych najdroższych i dał się unieść tłumowi.

Weszli w chłodne a mroczne progi pogańskiej pagody. Ze wszystkich kątów patrzyły rybie oczy bóstw mnóstwa, jakby przerazić chciały zalękłe dziecko. Herszt bandy wcisnął chłopcu kadzidło... Przed groźnym posągiem bogini żarzy się ogień. Wyprze się fałszywej zamorskiej wiary, co w nieśmiertelność niewidzianej nigdy duszy wierzyć każe.

Wszyscy czekają niecierpliwie. Rzuci czy nie rzuci... Czemu nie rzuca? Katowi marszczą się brwi. Niepokój ogarnia zebranych wkoło. Czyżby i on śmiał... W tem, o zgrozo! Ośmioletnia, słaba, zalękła zda się istota, gwałtownym ruchem wznosi drobną rączkę i ku przerażeniu widzów, śledzących każdy ruch, chłopczyna ciska trzymane kadzidło bóstwu prosto w twarz. Szał wściekłości i nienawiści ogarnął kłębiący się motłoch.

Śmierć, śmierć bezcześcicielowi, wywlec go z świątyni, zamęczyć, zabić jak psa — zewsząd groźnie wołano. W ogromnem podnieceniu rzuciła się ciżba na dziecko, jak na największego zbrodniarza. Porwały go krocie rąk, bito, szarpano za włosy, plwano nań, zdarto liche szatki, aż wreszcie wśród wycia przekleństw udręczone, zsiniałe od razów, zwiędłe ciałko okrutni, bez serca ludzie, przybili drewnianemi kołkami do zewnętrznych wrót pagody.

Zawisłeś, cichy kwiatku rajskich niw, umęczony, srebrzysty aniołku, jak Chrystus, nieszczęsny przedmiot złości szatańskiej, zabobonu ciemnego tłumu. Zawisłeś bezbronny, niewinny jak ta śnieżysta lilja, na krzyżu. Z czaru wiośnianych swych rozkosznych dni złożyłeś całopalną ofiarę Chrystusowi. Śpij snem pokoju, w ciszy mojowej, pachnącej bzami nocy, snem męczenników strudzonych wielce wśród ciernistych ścieżek żywota.

DLA ROZRYWKI.



Gdzie sternik tego okrętu?